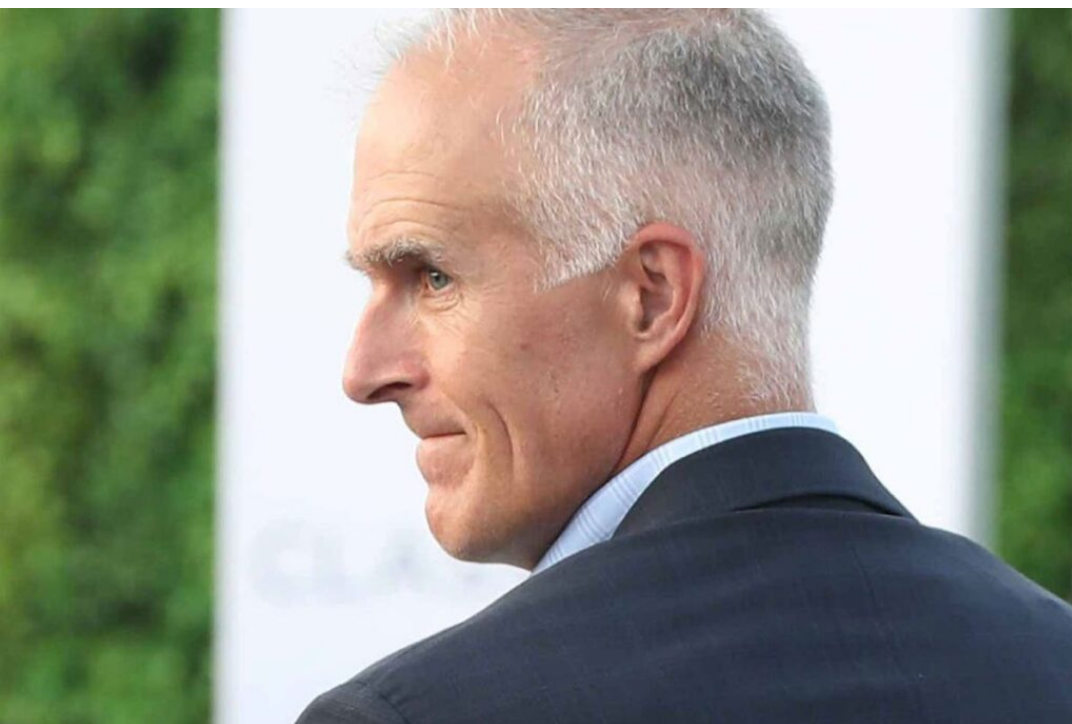


Todd Martin. Król tenisowych filozofów

maciej · 20 listopada, 2022



Świat, w którym Todd Christopher Martin funkcjonował jako tenisista, już nie istnieje. Święta Bożego Narodzenia sprzyjają sentymentalnym rozmyślaniom, przeto w ten wyjątkowy czas przywołuję rozmowę z Amerykaninem, który nie stroni od filozofii. Kiedy w styczniu 2015 roku usiedliśmy na ławeczce przy opustoszałym stoliku w Melbourne Park, poczuliśmy się, jakby ktoś przeniósł nas wehikułem czasu do innej rzeczywistości. Żaden oficer prasowy nie ponaglał nas i nie pilnował, czy rozmawiamy przez 12 minut, czy tyle, ile dusza zapagnie. Świergot ptaków towarzyszył pogawędce z byłym numerem czwartym na świecie w gronie singlistów. Finalista Australian Open 1994 (trzy sety z Pete’em Samprasem) oraz US Open 1999 (pięć setów z Andre Agassim) był tak rozanielony, a zarazem zasłuchany w każde słowo, że przestałem dziwić się, że ten pocziwy pan, urodzony w amerykańskim stanie Illinois, jest idealnym człowiekiem, aby dbać o historyczną spuściznę tenisa. Todd Martin pielęgnuje pamięć o byłych tenisistach. Stworzył Hall of Fame i zaprasza na Rhode Island byłe gwiazdy tenisa (m.in. Gorana Ivanisevicia), bo na trawie w Newport można przypomnieć sobie, jak kapitalnym sportem był kiedyś tenis. Pomimo że od tamtej konwersacji z Martinem minęło już ponad 6 lat, wciąż mam w uszach śpiew ptaków kukaburra na australijskiej ziemi, towarzyszący nam w trakcie rozmowy...

To prawdziwa przyjemność móc rozmawiać z byłym nr 4 w rankingu singlistów. Urodziłeś się w Hinsdale w stanie Illinois. A stan Illinois to część USA, w której mieszka wielu Polaków...

– To prawda, Tomaszu. Chicago i stan Illinois to miejsce kojarzone z Polakami. Jednak tak po prawdzie, ja tylko urodziłem się w Hinsdale, a dorastałem w Michigan. A Michigan i Chicago, cóż... Można podciągnąć te miasta pod środkowo-zachodni fragment USA, więc wciąż mam wiele wspólnego z miejscem, w którym ciężko pracują na chleb twoi rodacy. To dość spora diaspora.

Zastanawiam się, czy będąc u szczytu kariery miałeś możliwość spotykać się z Polakami w ATP Tour... Polskimi trenerami albo zawodnikami?

– W tourze było kilku polskich tenisistów, którzy grali wtedy, gdy regularnie rozgrywałem mecze, ale wedle mojej wiedzy polski tenis dopiero teraz rozkwita. Sięgam pamięcią wstecz i zadaję sobie trud, aby przypomnieć sobie, kto mógł grać w mojej erze...

Wojtek Fibak już nie grał, kiedy ty wspinałeś się w rankingu.

– Tak. Wojtek brylował, zanim zacząłem prawidłowo odbijać piłkę.

Todd, byłeś jedynym tenisistą, który urwał seta Pete’owi Samprasowi podczas Wimbledonu w 1994 roku, nieprawdaż? To był półfinał, jeśli się nie mylę... A w tamtym okresie móc urwać seta Samprasowi na trawie graniczyło z cudem.

– Racja. Krótco przed Wimbledonem w 1994 roku pokonałem Pete’a w finale turnieju na kortach Queen’s Club. To był bardzo zacięty finał, oba sety kończyły się tie-breakami. Miałem zatem podstawy, aby wierzyć, że w półfinale Wimbledonu zagram lepiej przeciwko Pete’owi. Do końca przechowywałem takową nadzieję... Ważną kwestią, badając to zagadnienie, jest fakt, że w finale Queen’s Clubu zagrałem chyba swój najlepszy tenis na trawie na przestrzeni całej kariery, dlatego wytrzymałem presję w obu tie-breakach. Wiedziałem, że kiedy nadejdzie pora Wimbledonu, Pete w swoim zwyczaju podniesie poziom gry i będzie praktycznie nieuchwytny dla rywali. On zawsze wysoko zawieszał poprzeczkę na Wimbledonie. Nawet uwzględniając porażkę z nim, wciąż miło wspominam ten półfinał. Ogólnie sezon 1994 był dla mnie znakomity na kortach trawiastych. Jeśli się nie mylę, wygrałem 4 czy 5 pięciosetowych batalii, aby awansować do półfinału Wimbledonu, przeto przechowuję piękne wspomnienia z tamtego okresu. Jeden mecz wygrany w trzech setach i 4 maratony...



Pete Sampras i Todd Martin.

Zdumiewająca pamięć! Trudno uciec od stwierdzenia, że byłeś specjalistą od dreszczowców. Pamiętasz mecz z Carlosem Moyą podczas US Open w 2000 roku, w którym przegrywałeś 0-2 w setach i zdołałeś wrócić?

– Naturalnie, że pamiętam ten niezwykle pojedynk z Hiszpanem... Niezależnie od tego, jak bardzo ekscytujące były te mecze, zauważam, że im bardziej się starzeję, coraz bardziej uwypuklają się najważniejsze momenty mojego sportowego życia. Tak jakby ktoś kładł towar w sklepie na najbardziej eksponowanym miejscu. Te emocje przeżywane na korcie wciąż ze mną mieszkają... Zabawne i przerażające zarazem, że musiałem walczyć ze stresem, podekscytowaniem chwilą, kiedy ważyły się losy meczu, ale przechowuję również w pamięci żarty, które koledzy mi robili, aby wyprowadzić mnie z równowagi. Najbardziej pamięta się ludzi... Ludzi, z którymi podróżowałem przez te wszystkie lata. Lubiłem, kiedy ze mnie dworowano. Prezentowałem wówczas najlepsze zagrania...

Kiedy przyjeżdżałeś grać na kortach Queen's Clubu, rozmyślałeś o tym, że na tym obiekcie znakomity amerykański reżyser i aktor Woody Allen kręcił sceny do filmu „Matchpoint”? Miałeś szansę osobiście spotkać Woody'ego?

– Nie, przenigdy nie spotkałem w swoim życiu Woody'ego Allena.

A jesteś miłośnikiem jego filmów?

– Bardzo lubię kilka jego produkcji, ale nie posiadam w sobie żarliwości religijnej, jeżeli chodzi o podziw dla Allena... Kilka jego obrazów doskonale mnie bawiło i żywię sporą dozę uznania dla jego talentu, ale śpię spokojnie w nocy na myśl o Allenie.

Jednym słowem nie jesteś maniakalnie uzależniony od jego filmów.

– Nie jestem uzależniony. Uzależniony – ładne słówko, idealnie pasuje do tej sytuacji... Intrygujące, że pytasz o Woody'ego, bo kilka dni temu jedząc kolację z przyjaciółmi ktoś przywołał temat tenisowych filmów fabularnych i padło hasło: Woody Allen nakręcił obraz o tenisie, ale – przyznaję się bez bicia – nie widziałem tego filmu. Dyskutowaliśmy sobie o filmach zahaczających tematycznie o tenis, zajadaliśmy się wiktuałami i nagle z czyichś ust wyskoczył Allen...

I nadszedł czas na piłkę meczową?

– Tak. Teraz uświadomiłem sobie, że to zawstydzające, jak ktoś tak kochający tenis jak ja, mógł nie widzieć filmu „Matchpoint”! (Martin sarkastycznie się uśmiechnął)

Goran Ivanisević... Twój wielki rywal, ikona twojej ery. Interesuje mnie twoja opinia o tym fenomenalnym Chorwacie, który pomógł wskrzesić akademię tenisową w Umagu.

– Goran... Cudowny gość. Pamiętam, że po raz pierwszy wpadłem na niego, gdy miałem 18 lat. Grałem wówczas z Goranem podczas juniorskiego US Open... Wtedy walcząc z nim uznałem, że to zadziwiający talent. Dopiero kilka lat później zrozumiałem i przekonałem się, że Goran to był fantastyczny i znakomity tenisista. Obłądnie szalony tenisista i wspaniały człowiek. Dziś, kiedy tylko go spotykam, od razu wkraczam na wyższy poziom ekscytacji! Kiedy widzę Gorana, od razu wpadam w dobry nastrój. Rok temu, kiedy Marin Cilić wygrał US Open (w 2014 roku Chorwat pokonał w finale US Open Kei Nishikoriego), pojąłem, jak fascynującym zjawiskiem jest Goran. Myślę, że Ivanisević przyznałby, że on sam był bardzo trudnym człowiekiem do prowadzenia w wymiarze trenerskim. Jakżeż to niezwykle, że ktoś tak trudny do prowadzenia podczas aktywnej kariery zawodniczej potrafi być kapitalnym trenerem, który wycisnął maksimum z Marina Cilicia i uczynił go zwycięzcą turnieju

wielkoszlemowego! To wspaniały przykład i nauka dla następnych pokoleń. Ilustracja, co można osiągnąć w sporcie poprzez porażki i chwile zwątpienia, jakie wielokrotnie miewał Goran... Jego historia pokazuje, że nawet jeżeli dziś sromotnie przegrywasz mecz i nie wiesz, czy dalej warto trenować, to warto pochylić się nad porażkami, bo dzisiejsza klęska może sprawić, że w przyszłości zostaniesz zwycięzcą... Dzisiejsza porażka nie musi oznaczać końca świata, bo być może przegrana okaże się wspaniałą lekcją i wyniesie nas na szczyt w niedalekiej przyszłości.

Todd, pachniesz mi zodiakalnym Rakiem, a więc osobą, która uwielbia głębsze przemyślenia i rozbieranie materii na czynniki pierwsze. Preferowałeś filozoficzne usposobienie na przestrzeni sportowej kariery?

- Tak. Uważam, że jestem osobą, która lubi refleksje i głębokie przemyślenia. Nie wiem, czy one komukolwiek oprócz mnie na coś się przydają, ale owszem, nie ukrywam, że lubię zanurzyć się w rozmyślanie... Myślę, że spory wpływ na mapę mojego postrzegania świata ma moje dzieciństwo i młodość. Dorastałem w świecie, w którym miłowało się filozofię. Zarówno moi rodzice, jak i mój trener tenisa uwielbiali filozoficzne rozważania. Mój trener tenisa był zakochany we wszelkiego rodzaju analizach. A ja jako dzieciak nie otrzymałem w kołysce naturalnego daru do gry w tenisa. Co prawda miałem bardzo dobrą koordynację na linii: ręka - oko, ale byłem dzieckiem, które nie posiadało koordynacji ogólnej. Byłem wolny jak żółw, nie potrafiłem właściwie reagować na zagranie rywala. Być może ten zwolniony tryb sprawił, że wiecznie ścigałem tenisistów lepszych od siebie. Wiadomość, jaką wpajano mi w domu czy na korcie, wynikała z ogromnej troski: rozwijasz się, jesteś coraz lepszy. Ilekroć brakowało mi odwagi, aby być bezwzględny na korcie, ilekroć przestawała mnie nachodzić ochota na treningi, przypominano mi ten przekaz: rośniesz w siłę! Z perspektywy lat oceniam, że sukces, który odniosłem w sporcie wynikał z naturalnej kolejności. Zacząłem dość powoli tenisową edukację, ale na skutek tego długiego procesu, z biegiem czasu zacząłem czuć się coraz pewniej na korcie. Notowałem coraz lepsze wyniki, czułem się lepiej sam ze sobą na korcie. Wiedziałem, że to, co robię, nabiera sensu. Czasami rysowałem sobie w głowie kogoś tak nieprzeciętnie utalentowanego, jak Goran Ivanisević. Podziwiałem go za to, że ktoś tak niezwykle zdolny do wyczynu potyka się, przewraca i znajduje siłę, aby powstać. Podejrzewam, że upadki i zwątpienia w karierze Gorana wynikały z różnicy w skali talentu. On jako dzieciak nie musiał przechodzić przez to, co ja przeszedłem. Dysponował gigantyczną siłą, ale wrażliwość sprawiła, że lądował też dość nisko, wątpiąc w siebie. I wtedy, kiedy ludzkość postawiła na nim krzyżyk, kiedy nikt nie spodziewał się, że Goran jeszcze powróci, on potrafił wygrać Wimbledon... W pracy trenerskiej, w której można było zakładać, że Goran nie osiągnie sukcesów, udowodnił, że można zdziałać cuda, pracując z Marinem Ciliciem.



To dowód na tezę, że ludzki umysł jest nieznosnie trudnym do odgadnięcia i zrozumienia organem...

– Racja, Tomaszu. Życie samo w sobie gustuje w tym, aby czynić nam figle i nie zawsze kieruje się logiką... Sukces odnoszony dziś nie oznacza sukcesu odnoszonego jutro. Porażka dziś nie znaczy, że nazajutrz też będziesz przegranym...

Te mądre maksymy wpoił ci twój tenisowy trener? Niegdyś twoim trenerem był najlepszy wśród Amerykanów, urodzony w kalifornijskim Lynnwood – Robert Van’t Hof. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Poniekąd tak. Robert Van’t Hof był jednym z moich pierwszych trenerów podczas profesjonalnej kariery. Mówiąc o skali mądrych sentencji, mam na myśli trenera, który prowadził mnie, gdy miałem 10 lat. To był prawdziwy dżentelmen, który pracował w klubie tenisowym w tej części USA, do której zawędrowali za pracą moi rodzice.

Jak się nazywał trener o filozoficznym zamiłowaniu?

– Rick Ferman. Był menedżerem klubu tenisowego, potem zaczął zawiadywać sektorem trenerskim w amerykańskiej federacji tenisowej. Rick to wspaniały człowiek i znakomity pedagog. Nie sądzę, że jeszcze spotkam kiedyś w życiu kogoś tak mądrego i mającego takie podejście do dzieci, jakie przez lata pielęgnował Rick Ferman.

Jestem zbyt młody, aby pamiętać sceny z finału Pucharu Davisa w 1995 roku. Jakie emocje przeżywałeś podczas batalii w Moskwie?

– Z finału najbardziej zapamiętałem kilka wymian z meczu deblowego, które bardzo mocno zapadły mi w pamięci. Jednakowoż najsilniejsze emocje wywołuje u mnie moment, kiedy Pete Sampras cierpiał z powodu skurczy mięśni po jego pojedynku singlowym. Wiedząc, że następnego dnia Richey Reneberg i ja mamy grać debła, bo trenowaliśmy w pocie czoła przez cały tydzień, więc naturalnie byliśmy przygotowani do meczu gry podwójnej, Pete obudził się nazajutrz i powiedział do mnie: „Jeśli chcesz, zagram debła”. Zgodziłem się, wyszliśmy wspólnie na kort na parę: Kafielnikow – Olchowski, a Pete rozegrał kapitalne deblowe spotkanie. I bardziej od poziomu deblowego, jaki wówczas prezentował, zauroczyła mnie jego obecność na korcie. On uruchomił gigantyczną siłę wśród nas, wsparł całą amerykańską ekipę. To było jak uderzenie tsunami. Wiedzieliśmy, że tego finału z Rosjanami nie możemy przegrać. Widok Pete’a natchnął nas do działania.

Przykład Samprasa, który przywołałeś, wiele wyjaśnia w kontekście duchowej wspólnoty w rywalizacji drużynowej. Oto dlaczego Andy Roddick, James Blake, bracia Bryan i Mardy Fish chcieli być w kadrze, gdy USA zmierzyła się z Rosją w finale Pucharu Davisa 2007 w Portland.

– Bracia Bryan są niezwykle ludźmi. Uważam, że fakt, iż debel rozgrywany jest tylko raz w meczu Pucharu Davisa, sprawia, że gra podwójna urasta do wyjątkowego wymiaru. Debel ma ogromne znaczenie w Pucharze Davisa. Myślę, że gdyby rozgrywki miały odmienny format: dla przykładu 4 deble i 1 singiel, od razu poczułbyś się lepiej, gdybyś miał w składzie znakomitego singlistę. A tak dobry singlista rozgrywa dwa mecze.

Bardziej doceniałbyś wkład deblistów w zwycięstwo.

- W istocie, bo wiedziałbyś, że prowadziłbyś 1-0 lub przegrywałbyś 0-1, mając dobrego singlistę. A z Bryanami reprezentacja USA, praktycznie przed rozegranie pierwszego punktu, wiedziała, że ma w kieszeni wygraną w deblu. Przyznam, że ja rozegrałem mnóstwo deblu w Pucharze Davisa dla USA. I przez wiele, wiele lat miałem nieodparte uczucie, że jesteśmy żółtodziobami w pojedynku deblowym. Prawie niemożliwe, aby USA zdobyły punkt dzięki deblistom. Tak się czułem, ilekroć wychodziłem na kort, reprezentując Stany w Pucharze Davisa. Odkąd bracia bliźniacy pojawili się w kadrze, praktycznie zapisujemy na tablicy 1-0 dla USA, bo wszyscy zakładają, że Bryanowie zdobędą arcyważny punkt w deblu.

Podobał ci się okres w twoim życiu, kiedy trenowałeś Mardy'ego Fisha i Novaka Djokovicia?

Czy przy każdym z tych tenisistów uczyłeś się innej tenisowej i kulturowej mądrości?

- Kocham trenować tenisistów. To na swój sposób moja pasja. Przechowuję w sercu dwa jakżeż odmienne doświadczenia z pracy trenerskiej. Oba były bezcenne. Novak... Cóż, to było niezwykle przeżycie być obok kogoś, kto dysponuje tak wyjątkowym talentem do gry w tenisa. To była dla mnie niezwykle ciekawa lekcja, aby sporo dowiedzieć się o sportowcu z bardzo odmiennej kulturowo wschodniej Europy. Przez większy czas, kiedy prowadziłem Novaka, Serb zajmował trzecie miejsce w rankingu singlistów. A może przez chwilę Novak był wtedy numerem dwa, tego już nie przywołam tak łatwo z pamięci... Po tym przemarszu na szczyt, jaki stał się udziałem Novaka, jeszcze lepiej zrozumiałem to, co wiedziałem, odkąd zacząłem go trenować. Dla niego tak łatwo i lekko było zawędrować na fotel oznaczony numerem trzy! On nieustannie poprawia swój tenis, nigdy nie zadowala się progresem. Uważam, że czysto tenisowe zasługi innych graczy są zawyżone i zbyt wychwala się innych mistrzów, a nie docenia się sportowej klasy Novaka. I to, co on uczynił ze swoim tenisem i jak bardzo zbliżył się do perfekcji, udowadnia tylko tezę, że on również zasługuje na gigantyczny szacunek, nie mniejszy niż inni tenisowi herosi.

Czy kiedy prowadzisz tenisistę, zabierasz go do teatru albo na pokaz freestyle motocrossu? Lubisz wynajdywać inne arterie duchowe, aby dać odpocząć tenisistom od wiecznego zanurzenia w świecie piłki i kortu?

- To dość specyficzne i bardzo ciekawe pytanie. Miałem dwa zgoła odmienne rodzaje relacji z podopiecznymi. Byłem na bardzo zażyłym stopniu przyjaźni z Mardym, zanim odszedłem ze sportu. Zanim zacząłem go trenować, często razem odbijaliśmy piłkę. A kiedy rozpoczęliśmy współpracę, miałem bardzo osobisty stosunek do Mardy'ego Fisha. Spędziliśmy ze sobą tonę czasu. Kiedy pracowałem jako trener Mardy'ego, praktycznie non stop przebywaliśmy ze sobą. U Novaka było inaczej: byłem zatrudniony czy wynajęty, aby być jego trenerem. Spędzaliśmy razem 90 minut, góra 2 godziny dziennie. Okazjonalnie jedliśmy razem obiad z Novakiem. To były kolacje w kręgu bliskich przyjaciół Novaka i jego ówczesnej dziewczyny, a dziś żony - Jeleny Ristić. Zupełnie inna relacja łączyła mnie z Novakiem, inna z Mardym.

Todd, czy gdybym wyposażył cię w łódkę wyobraźni, to czy wyruszyłbyś nią do ery Harry'ego Hopmana, czy wolałbyś spędzać czas w nowoczesnym, dzisiejszym tenisie?

- Hmm... Masz na myśli kolor i piękno duszy?



– Uważam, że tenis, jako sport, wciąż się rozwija – mówi Todd Martin.

W rzeczy samej...

– Szanuję tenis za styl, w jakim się rozwinął. Uważam, że tenis, jako sport, wciąż się rozwija. Sportowcy są coraz lepiej przygotowani. Ta dyscyplina sportu staje się coraz bardziej profesjonalna. W wymiarze biznesowym, tenis radzi sobie znakomicie. Sposób, w jaki mnie wychowano, zawsze skłaniał mnie w stronę czystości gry i dostrzegania piękna w sporcie. Wydaje mi się, że nie lubię wielu osób, które grały na korcie w erze Harry’ego Hopmana, ale mimo to uważam, że to był okres czystości i lekkości życia w wymiarze tenisowym. Wówczas każdy, kto grał w tenisa, robił to z pobudek duchowych. Tak zwyczajnie, z miłości do tenisa... Nie miało to związku z biznesem, jakim stawał się powoli tenis. Nikt z ówczesnych graczy nie myślał o tym, aby być gwiazdą show-biznesu. Era Hopmana była wspaniałym okresem tenisa, okresem pełnym czulej miłości do sportu. A patrząc z perspektywy sportowca... Cóż, nie miałbym szans z dzisiejszymi gwiazdami tenisa, więc zdecydowanie wolałbym tworzyć w erze Harry’ego Hopmana! (*śmiech*)

Bardzo mi było miło porozmawiać z królem tenisowych filozofów: Toddem Martinem.

– Przyjemność po mojej stronie, Tomaszu.

Todd Martin – 198 centymetrów wzrostu, 91 kilogramów wagi. Oburęczny bekhend. Mieszka na Florydzie. Wygrał 8 turniejów w singlu i 5 w deblu (w tym zwycięski finał gry podwójnej na kortach Queen’s Clubu z Pete’em Samprasem w 1995 roku). Niesamowitą wycieczkę odbyliśmy z Toddem Martinem...

Tomasz Lorek



Czytaj online i udostępnij:

<https://tenismagazyn.pl/todd-martin-krol-tenisowych-filozofow/>